

JERZY MATWIJÓW

ur. 1938; Jarosław

Miejsce i czas wydarzeń	Jarosław, Lublin, II wojna światowa, PRL
Słowa kluczowe	Lublin ; Jarosław ; Bolesławiec ; PRL ; edukacja ; edukacja muzyczna ; szkoła muzyczna ; liceum ; UMCS ; studia ; Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie ; studia biologiczne na UMCS ; Chatka Żaka ; akademik Amor ; środowisko kabaretowe ; życie kulturalne ; zespół Rytm ; zespół Mikstura ; Dom Żołnierza w Lublinie ; restauracja Lublinianka ; Głos Lubelski (gazeta) ; Estrada Lubelska ; Czarcia Łapa ; restauracja Czarcia Łapa ; kabaret Czart ; Lubelskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Miejskiego ; kabaret Mikstura ; kabaret Gips ; Beer, Jerzy ; Bodes, Alicja ; Kłębukowski, Andrzej (1946-) ; Kozłowicz, Jerzy ; Kruszelecki, Tadeusz ; Kula, Sławomir ; Lityński, Jan ; Łojan, Kazimierz (1931-1992) ; Keinzler, Jan ; Kursa, Tadeusz ; Pawełek, Kazimierz (1936-2017) ; Rozhin, Andrzej (1940-) ; Rozhin, Barbara ; Rossowiecka, Aniela ; Ryż, Bolesław ; Siebielec, Andrzej (1943-) ; Szczepanik, Piotr (1942-) ; Tabaczewski, Józef ; trojanow ; Welik, Jan ; Żebrowski, Leszek

Jerzy Matwijów - całość relacji świadka historii

1. Edukacja

Urodziłem się w Jarosławiu w 1938 roku, czyli dwa lata przed wybuchem wojny, bo to 1938 rok, kwiecień. To prawie dwa lata. W 1939 roku wybuchła [II wojna światowa], to tak półtora roku. Edukacja moja zaczęła się w Jarosławiu, to tak na kilku frontach. Jak zaczyna się życie, to jest kilka dróg do wyboru, a z biegiem lat, zawężają się te możliwości, bo jak wybierze się jedną drogę, to później ma się już ograniczone możliwości, bo na przykład te kilka innych dróg idzie jakby w odstawkę, bo nie można pięciu, czy sześciu dziedzin życia kontynuować równocześnie, bo to trzeba mieć do tego specjalne warunki: i psychiczne, i fizyczne, i finansowe. Byli tacy ludzie, tak zwani ludzie renesansu, którzy zajmowali się kilkoma rzeczami, mieli różne zdolności. A ja miałem trochę zdolności muzyczne i śpiewałem wtedy coś. Gwizdałem dobrze. I ojciec wysłał mnie najpierw do takiej pary. To był ojciec i córka. Uczyli gry na fortepianie. I chodziłem sobie, i uczyłem się. To jeszcze w czasie wojny. Przy końcu wojny. Później, po wojnie zacząłem szkołę muzyczną. W Jarosławiu była siedmioletnia i pięcioletnia szkoła muzyczna. Znaczący, jedna i ta sama szkoła. W

jednym i tym samym budynku, ale można było wybrać, po prostu – albo zapisać się na pięcioletnią szkołę, na przykład akordeoniści zapisywali się na pięcioletnie, a ci, co chcieli na fortepian i uczyć się na fortepianie – ja akurat wybrałem ten fortepian – to musieli chodzić siedem lat. Tę szkołę skończyłem chyba w 1954, albo 1955 roku. Siedem lat. To trzeba odjąć. Zacząłem w 1948 roku, mniej więcej, to jest trzy lata po wojnie. To dwa lata chodziłem gdzieś tam prywatnie. Do tych, co mnie uczyli. Forte pian miałem w domu, ojciec kupił. On był w domu. Taki krótki. Tak zwany krótki fortepian. Ćwiczyłem, chodziłem. Nie bardzo chciałem, bo to człowiek grałby w piłkę, biegał z kolegami, a nie... Musiałem chodzić prawie na drugi koniec Jarosławia, na te lekcje. No, ale jakoś tam chodziłem. Te koncertowe [forte piany], duże, to one są długie. Ilość klawiszy jest też troszkę inna, bo koncertowy to on ma osiemdziesiąt osiem klawiszy, a takie pianina na przykład i takie te krótkie forte piany, to mogą nie mieć tej pełnej klawiatury. Ostatnie jakieś tam trzy, dwa na samym dole w basie, to są urywane. A pełna [klawiatura], to jest już taka na fortepianie typu Bernstein, czy jakieś tam jeszcze inne. To jest taki fortepian, tak zwany długi. Taki, jak stoi na scenie w filharmonii, czy gdzieś, jak widać, to jest po prostu długi fortepian. Teraz, to są różne forte piany, bo robią pełne forte piany, ale tak firmy japońskie, czy jakieś inne to kombinują i [robią] troszeczkę inne [forte piany].

Po skończeniu szkoły muzycznej, dalej byłem w Jarosławiu, bo równocześnie chodziłem też do szkoły normalnej, czyli do szkoły podstawowej. [Zacząłem ją] mniej więcej, w tym samym czasie, co muzyczną. W każdym razie, wtedy była siedmioletnia szkoła podstawowa. To chodziłem do dwóch szkół, bo to tam później zrobili jakąś rejonizację. Najpierw każdy wybierał, gdzie mu tam pasowało.

Po tej szkole, to jeszcze uczyłem się prywatnie trochę. Trochę do Rzeszowa dojeżdżałem do takiej Pani jeszcze, bo starałem się na studia. Skończyłem szkołę i później liceum. bo jeszcze po tej szkole, poszedłem do liceum. Cztery lata było liceum. Zdałem maturę i starałem się na studia. To było Liceum Ogólnokształcące. Nie jakieś tam matematyczno-przyrodnicze, sranie w banie. [Liceum] w Jarosławiu. Jedno jedyne było. Duży budynek taki. Mnóstwo ludzi. Wszyscy, którzy chodzili do liceum, to tam, bo była jeszcze szkoła budowlana. Były zawodowe szkoły. Szkolnictwo było rozwinięte super. To teraz wszystko upadło. I nie ma nic tam. Odnawiają.

2. Kadra nauczycielska w Jarosławiu była bardzo dobra

W szkole muzycznej byli bardzo dobrzy [pedagodzy]. Dobra kadra nauczycielska. Dlatego, że Jarosław po wojnie stał się takim azylem dla ludzi z różnych terenów. W czasie wojny to i z Rosji, i ze Lwowa to albo wyjeżdżali do Wrocławia ze Lwowa. Najczęściej. Do Gliwic tam część, ale część zostawała w Jarosławiu. I część później przyjeżdżała z zachodu po wojnie. Znaczą ci, co robili głupoty, to przyjeżdżali. Na przykład z Francji kilku bardzo dobrych muzyków przyjechało do Jarosławia. Taki Pan

nazywał się Lewandowski. Grał na akordeonie. Przyjechał z Francji. Super miał akordeon. Francuski. Błyszczący. On nie uczył w szkole, ale przyjeżdżało parę osób. Przyjechał też taki Pan Pelc do Jarosławia. To on uczył. On uczył akordeonu w szkole. A fortepianu, uczył super facet. Nazywał się Jan Lityński. Grał na fortepianie wirtuozowsko. No i potrafił uczyć. Chociaż denerwował się czasem, bo jak kto robił błędy to jego ponosiło. Ale kurcze, grał sam. Zresztą, miał taką rękę chopinowską. Taki szczupły był. W ogóle, był podobny trochę do Chopina.

3. Studia

Starłem się na studia, ponieważ ja chciałem koniecznie [studiować chemię]. Miałem jakieś pomysły chemiczne, bo zresztą, dobrze umiałem chemię. I jakoś mnie to interesowało. To starałem się do Wrocławia. Składałem papiery tam, na jakiś wydział właśnie taki chemiczny. Jeździłem tam na egzaminy. Dwa razy podchodziłem. Jeździłem na egzaminy. Zdawałem. A później dostawałem [informację], że egzamin zdany, ale z braku miejsca [nie zostałem przyjęty]. I tak dalej. Później dopiero okazało się, że to nie z powodu żadnego braku miejsca. Tylko trzeba było pisać takie podanie, życiorys. I ojciec, podpowiedział mi tak, że jak się podaje pochodzenie ojca – bo to trzeba było pisać [pochodzenie] ojca – żeby napisać, że to inteligencja pracująca. Bo to ojciec, tak się zaliczał. On uważał siebie za inteligenta pracującego. Później okazało się, że w związku z tym, dostawałem odmowę przyjęcia na studia. Zresztą, nie tylko ja. Mnóstwo ludzi. To albo przez znajomych jakichś załatwiano się [miejsce na studiach]. A tak, to był egzamin zdany i z braku miejsc [odmowa]. I tak siedziałem dwa lata w Jarosławiu. I później dowiedziałem się, jak mnie już drugi raz odrzucili we Wrocławiu, że to wszystko jest wina tego jednego zdania w moim życiorysie, ja tam ciągle wtedy dokumenty składałem. Przyjechała z Lublina taka kobieta do Jarosławia. I ona pracowała na UMCS-ie. Ach! Żebym ja pamiętał dokładnie [jak ona się nazywa]. Nie wiem. Może jakaś Pawłowska. Już nie pamiętam. Przyjechała do rodziny do Jarosławia. Spotkała się z moim ojcem i w rozmowie ojciec powiedział coś właśnie o tych moich losach, że nie mogę się dostać. Mówi do ojca: „Czyś Ty zgłupiał człowieku?”. Bo to ojciec mi radził. Ona mówi: „Przecież tak się nie pisze. Trzeba pisać pochodzenie robotniczo-chłopskie, bo inaczej człowiek się nie dostanie. Nigdy w życiu na studia się nie dostanie”. To wtedy już zrezygnowałem z tej całej chemii. Jeszcze miałem przygody, bo jak nie tutaj, to na Politechnikę Wrocławską próbowałem, na jakąś tam fizykę, żeby dostać się gdziekolwiek do Wrocławia. Coś mnie strasznie ciągnęło do Wrocławia, żeby była fizyka, a później, przerzuciłbym się na chemię. Takie były różne kombinacje. I złożyłem wtedy dokumenty do Lublina. Już było pochodzenie robotniczo-chłopskie. Rodzice ojca przyjechali z Gródka Jagiellońskiego w czasie wybuchu I wojny [światowej]. Uciekli stamtąd. Osiedlili się w takiej miejscowości pod Jarosławiem. Taka wiocha nazywająca się Pawłosiów, ale ojciec pracował w Jarosławiu i tam uczył się. I

zresztą, miał dwóch braci. To oni wszyscy uczyli się w Jarosławiu. Nawet w Jarosławiu ożenił się. I w Jarosławiu ja się urodziłem.

Studiowałem biologię. W końcu dostałem się na biologię w 1958 roku. Miałem tyle przerwy. W październiku 1958 roku zacząłem studiować biologię, bo ta kobietka była w dziekanacie biologii. To jak złożyła się dokumenty, to wszystko jeszcze ona sprawdziła sama. No i, poza tym, ona pracowała parę lat. Gdzieś nie wiedzieli w ogóle. Tak trzeba było załatwiać. Egzaminy zdawałem super, bo to były wtedy pisemne i ustne.

4. W Jarosławiu grałem w różnych zespołach muzycznych

To trochę uczyłem się i trochę grałem w zespołach, bo już w liceum mieliśmy zespół muzyczny. Grałem tam na pianinie. Był taki zdolny akordeonista, który później pojechał do Rzeszowa. Taki Jerzy Kozłowicz. Był super zdolny facet, który grał na gitarze i na kontrabasie. I jeszcze malował. On po skończeniu tej szkoły, to jeszcze poszedł trochę do szkoły plastycznej. W Jarosławiu była duża szkoła plastyczna, na bardzo dobrym poziomie. W tym zespole grał jeszcze taki kolega, który nazywał się Andrzej Superson. On grał na klarncie. Ktoś grał na perkusji. Nie pamiętam kto. Na początku tak nie bardzo było perkusji. A później przyjechał relegowany z Bytomia ze szkoły, bo tam coś źle się zachowywał, przyjechał do ciotki, do Jarosławia. I w związku z tym, kończył [szkołę] tutaj. Przyjęli go tam do liceum w Jarosławiu. Taki Waldemar... Zapomniałem w tej chwili nazwiska. I był taki duży zespół. Graliśmy. Każdy umiał nuty wtedy, bo to też właśnie ten Jurek chodził do szkoły. Nie pamiętam, żebyśmy nazywali się jakoś, ale działaliśmy w szkole, później przy jarosławskim domu kultury. Był duży dom kultury. To tam mieliśmy później próby, występy z jakiejś okazji. Wtedy dołączył jeszcze taki... On był profesorem, uczył. Tylko, że taki młodszy był. Na puzonie [grał]. Facet uczył w szkole, ale muzycznej i dołączył do zespołu tego PDK. I jeszcze tam ktoś, bo robiliśmy zespół trochę taki dixielandowy. I trzeba było puzon mieć i trąbkę. Ja grałem wtedy też i trochę na trąbce, i na akordeonie. Tak, że tam dostałem takie szlify, w Jarosławiu. A, mało tego! Jeszcze był taki okres jarosławski, że przyjechał facet ze Stanów. Grał na saksofonie. Przyjechał ze Stanów. Przeniósł się tu do rodziny. Przywiózł mnóstwo nut, amerykańskie aranże, orkiestrówki. I w jarosławskim domu kultury zrobił big band. Prawie prawdziwy big band duży. To wtedy dołączył też perkusista ze szkoły muzycznej, który uczył w szkole muzycznej. Zresztą facet bardzo dobrze grał. No i, to już był taki zespół... No cały, prawdziwy big band. To tacy dobrzy muzycy z Jarosławia. Rożni. On tam ściągał [ludzi do zespołu]. Wziął mnie na fortepian i grałem. To tam się nauczyłem, on miał nuty na przykład takiego znanego utworu Ellingtona Caravan. I on sam grał na saksofonie. Dyrygował to wszystko. Tak, że to [trwało] ponad rok. Więcej niż rok. W Jarosławiu [nauczyłem się] takich szlifów muzycznych. Też mieliśmy taki zespół. Taki tak zwany chałturniczy trochę. Po

zabawach, po tym, żeby parę złotych [zarobić]. Coś trzeba było też zarobić, bo człowiek nie pracował, czekał, żeby dostać się na studia.

5. W akademiku poznałem Kazia Łojana, z którym założyłem kabaret

Dostałem miejsce w akademiku, w bloku „A”. Jest taki blok „A”. To jest pierwszy blok z tej strony od „Chatka Żaka”, [„Amor”]. Taki pierwszy „A”. Po lewej. Tutaj był „Babilon” po prawej. [„Amor” i „Babilon” były] połączone takim łącznikiem. Tam przejście było pod spodem. Mieszkałem tam jakiś czas. Z takimi fajnymi ludźmi, którzy studiowali geografię. A ja studiowałem biologię. Skończyłem [biologię], ale jeszcze zanim skończyłem, to na dole w tym bloku „A”, była taka mała świetlica i tam stało pianino. Ja tam se schodziłem wieczorkami, bo tam siedzieli ludzie i pogrywałem tam sobie trochę tak na tym pianinie. I ktoś usłyszał, że ja tam gram. I podszedł do mnie facet i mówi tak: „No, słucham jak Pan gra”. I zaczął pytać, gdzie grałem, gdzie byłem, skąd się wziąłem. Powiedziałem, że z Jarosławia. A on mówi: „Bo my mamy taki pomysł. Chcemy założyć kabaret studencki. Czy Pan potrafiłby takie tam kabaretowe grać?”. Ja mówię, że: „Nie wiem. W Jarosławiu akurat nie brałem udziału w żadnym [zespolu] kabaretowym. Tylko w takich muzycznych”. Znaczący, jeszcze tam w zespole tanecznym. Chodziłem długie lata i akompaniowałem w zespole tanecznym. W Jarosławiu był duży zespół taneczny. Taki olbrzymi. To jest osobna opowieść. Okazało się, że on przedstawia się i mówi: „Ja nazywam się Kazimierz Łojan”. Nie wiem, czy on studiował, bo on był starszy ode mnie. Czy studiował jeszcze? Może tam z polonistyki chyba, czy coś tam jeszcze chyba kończył i że kabaret chcą założyć. I tak poznałem Kazia Łojana. I zrobiliśmy ten kabaret. Kabaret miał próby na KUL-u, bo na KUL-u była scena. Łojan nie studiował na KUL-u. Łojan, gdzieś kończył chyba jakąś może jeszcze polonistykę, czy coś tutaj. Ale on był starszy ode mnie i skończył, albo przerwał, bo później zaczął pracować. To był 1958 rok, na jesieni, czyli od października. Pierwszego, którego poznałem z tych późniejszych przyjaciół, to był Kaziu Łojan. W bloku „A”, w świetlicy na dole. I zrobiliśmy taki kabaret. Już nie pamiętam, czy on miał jakąś nazwę, czy nie. W każdym razie, mieliśmy próby na tej scenie KUL-owskiej. Ona istnieje chyba jeszcze do tej pory. Nie wiem. Tam przebudowa była KUL-u. Nie byłem tam bardzo dawno. W każdym razie, była duża scena. Widownia. I tam nam on gdzieś załatwił jakoś, że mieliśmy sobie próby kabaretu. Był fortepian.

6. Skład kabaretu studenckiego

Była taka kobitka, która później została naczelną Tygodnika „Przyjaciółka”. Przeniosła się do Warszawy. Ewa, ale nazwisko w tej chwili wypadło mi z głowy. Była taka dziewczyna, co przyjechała z Francji, z rodziną. Przyjechała z Francji. Śpiewała niezłe. Była taka dziewczyna, co nazywała się Zosia Małolepsza. Mieszkała na

Bronowicach. Był taki facet z Łodzi. W okularkach taki. Trochę podobny do Cybulskiego. Oni studiowali. Ta Ewa studiowała polonistykę. Ta Zosia, coś tam studiowała innego. Ten chłopak też studiował. Kazik Łojan ich jakoś tak wyłapał, znalazł. Nie wiem. Nie dawał ogłoszenia. To się tak jakoś roznosiło „pocztą pantoflową”. W każdym razie, robiliśmy jakiś program. Wiem, że nie było wtedy jeszcze piosenek pisanych specjalnie. Trochę Kaziu Łojan pisał takie pod znane melodie, później pisało się „Szopki”, że pod znane melodie swój tekst, albo przerobiony, albo coś. Były też oryginalne piosenki, takie normalne. Ta Francuzka, ponieważ przyjechała z Francji, to jakieś se wymyśliła, że ona zna taką jakąś... Już nie pamiętam w tej chwili, co to było. Musiała mi śpiewać, bo ja musiałem nauczyć się tego. Ja wtedy jeszcze nie komponowałem. W każdym razie, zrobiliśmy ten kabaret i cały scenariusz. Mało tego! Jeszcze im brakowało jakiejś scenki, bo to były tak zwane blackouty. Jak to teraz mówią, że skecze, „Kabaret Skeczów Męczących”. Takie wstawki tekstowe, na zasadzie: im krótsza, tym lepsza. To musiały być jakieś cięte sprawy i kończone jakąś dobrą puentą, albo nawet dwoma. Jedna taka pół-puenta tak zwana, żeby ludzie reagowali. A później jeszcze dobijało się puentą. I wtedy dopiero była reakcja. Podgrywało się coś na pianinie. No i później jakiś tam następny numer. Takich scenek było co najmniej cztery, pięć w takim programie. Różne. Coś im zabrakło, bo oni wszyscy brali udział jako jakieś tłumy i brakowało im jednej postaci. Nie wiem, co to była za scenka. No i mówi: „Jurek, Ty siedzisz. To musisz coś zrobić”. Ściągnęli granatowy płaszcz z wieszaka, chyba faceta z Łodzi, zdaje się. Tu mi jeszcze wypchali, żebym miał jakiś brzuch, [dali] jakiś kapelusz. Miałem wejść i powiedzieć jakieś jedno zdanie, czy dwa. Coś na temat było, że ja byłem niby jakiś taki kapitalista, z takim brzuchem i w kapeluszu. I co by tutaj zrobić? Bo oni coś tam robili, jakiś tłum, zamieszanie. Nie pamiętam szczegółów. W każdym razie, pierwszy raz zagrałem kawałek roli. To było zagrane gdzieś może raz, bo taki przegląd jakiś był. Później były te próby. Jakiś był przegląd kabaretów studenckich. Raz żeśmy gdzieś to zagrali. Później skończyło się. Ten kończył studia to już gdzieś wyjechał. Ten kabaret to tak trwał może ze dwa lata. Wystąpiliśmy gdzieś na Kalinowszczyźnie, na deskach takich. Była scena budowana z jakiejś tam okazji. Nie cały program, tylko część, wybrane coś tam. Pamiętam, żeśmy tam wystąpili i jeszcze coś. To był taki jeden program, bo to robiło się przez jakiś czas. Nikt nie miał tak wprawy. Wszyscy studiowali.

7. I tak zostałem członkiem zespołu Rytm

Ale mało tego! W tym samym roku, przyszedł na studia do Lublina, ten kolega, który grał ze mną w licealnym zespole szkolnym – Tadzio Kruszelnicki. On się tu dostał na matematykę. On był taki zdolny facet. Malował świetnie. Języki jakieś łapał. A nagle zachciało się mu jakiejś matematyki uczyć. Na matematykę dostał się tutaj. Zdał egzamin. Ja nawet nie wiedziałem, że on tu zdaje. Zobaczyliśmy się. Próby mieliśmy

na KUL-u, ale spotykaliśmy się tam w tym klubiku w bloku „A”, wieczorem przy pianinie. Ćwiczyliśmy coś sobie. Takie tam piosenki, czy jakieś rzeczy. Tam występów nie było. Tam nie było po prostu miejsca, ale tam było nasze miejsce spotkań. I nagle, któregoś wieczoru, przyszedł do tego klubiku, jakiś facet, albo przyszła taka portierka. Na portierni jakaś tam kobitka siedziała. Przyszła i zawołała mnie z tego klubiku, że jakiś Pan mnie szuka i czeka przed portiernią. Se myślę, kto to może być? Nikt do mnie nie przyjechał. Nie wiem. Wyszedłem. Jakiś człowiek przedstawia się i mówi: „Wie Pan, słyszałem tutaj o Panu. Bo ja tu niedaleko mieszkam”. Na [ulicy] Uniwersyteckiej mieszkał. To jest tam koło Radia. Ktoś mu gdzieś doniósł, że ktoś gra na fortepianie. A on mówi: „Ja jestem kierownikiem zespołu muzycznego i mamy kłopoty z naszym pianistą, a mamy załatwionego Sylwestra w ZBOWID-zie”, tutaj taki olbrzymi Sylwester. To już była podpisana umowa i nagle nawalił im pianista. I ja mówię: „Wie Pan co? Ja grałem i gram takie rzeczy różne, ale przecież musimy zobaczyć się gdzieś jeszcze, jakąś próbę zrobić, żebym wiedział, co Wy gracie”, bo tam śpiewała kobita z nimi. Okazało się, że ten Pan nazywa się Tadeusz Kursa. Tu, w Lublinie, był bardzo znany zespół, pod kierownictwem Tadzia Kursy. Tadzio Kursa to był drugi, co zrobił głupotę. On był w Anglii. Dostał się z Armią Andersa naokoło do Anglii i zamiast tam siedzieć, wrócił do Polski. Tam grał na skrzypcach. Uczył się i w tej armii grał w zespole. Przywiózł nuty ze sobą i on tutaj robił zespół. Oni grali już tam wcześniej, gdzieś w 1957 roku, czy którymś, w składzie z facetem jakimś. Prawdopodobnie to był ten Leszek Żebrowski. Jest taki facet – pianista, który z nimi grał. Czy musiał gdzieś wyjechać? Czy miał jakieś sprawy? Nie mógł, po prostu. No to ja jeszcze ciągnąłem [rozmowę]. Mówię: „Panie Kursa, tu jest ze mną jeszcze taki człowiek, który przyjechał na studia. On super gra na gitarze, na kontrabasie i łapie nawet bez nut, bez nut może zagrać”. No i tak skontaktowaliśmy się i zrobiliśmy jakieś ze dwie, trzy próby. Okazało się, że znam większość tych rzeczy. Chodziło o sprawy tonacyjne, bo kobitka śpiewała. Grał tam taki człowiek na akordeonie, bardzo dobrze grał. Jeszcze żyje do tej pory. Ma osiemdziesiąt ileś lat. Gra na gitarze i na gitarze hawajskiej, taki Kazio. Ten zespół nazywał się Rytm i tak zostałem [jego] członkiem.

8. W zespole Rytm grałem do końca studiów

To była różna muzyka. Tadzio se wymyślił jeszcze stroje, takie jakieś meksykańskie – kapelusze, takie fajne koszule, ozdobne, takie marszczone, haftowane. Wszyscy takie mieli. Super taki był zespół!

Z nimi grałem Sylwestra 1958/1959, i z Tadzim Kruszelnickim. A ja jeszcze z nimi grałem prawie do skończenia moich studiów. Siedziby nie było. Próby robiło się, albo u tej Pani, ona nazywała się Aniela Rossowiecka, a jej mąż śpiewał w operetce lubelskiej – taki nieduży ten Gabryś, śpiewał tenorem. I oni mieli duże mieszkanie na [ulicy] Biernackiego, na drugim piętrze. Tam jest taka narożna kamienica i był duży,

tak jakby salon. Tam fortepian stał, bo też robili sobie tam próby operetkowe. No i, robiliśmy takie próby. Znaczący, bez perkusji, takie wstępne próby. Zespół Rytm, grał różnie, ale przeważnie w Lublinie. I wtedy, jak grał w Lublinie, to ja grałem. Graliśmy na takich właśnie sylwestrowych. Później był jeszcze gdzieś jakiś. Ten zbawidowski udał się, jakoś poszło wszystko. Później jeszcze mieliśmy jakiś. Mieliśmy występy takie jakby estradowe, bo były takie w tak zwanym „Domu oficera”. Teraz ja nie wiem, jak to się nazywa. Teraz tam, gdzie operetka jest i to był „Dom oficera” kiedyś. To tam były jakieś przeglądy zespołów, takie występy jakieś, ktoś to organizował, bo przyjeżdżali ludzie tacy spoza Lublina, ale myśmy też tam dobre piętnaście minut graliśmy, śpiewaliśmy. Graliśmy też w [hotelu] „Lublinianka”. Na górce, w kawiarni, tam był fortepian. Nie wiem, jak to teraz „Lublinianka” wygląda, ale jak wchodziło się tam na dole były stoliki, na górce stały ze dwa, czy trzy stoliki i był parkiet do tańczenia. A tak bliżej taka balustrada była, fortepian był tak pod oknem – ten długi fortepian, ale mieścił się pod oknem, perkusja [stała] tak pod ścianką, bo to była taka jakaś dobudówka. Tam graliśmy chyba z rok czasu. Trzeba było grać muzykę taką i do słuchu, i poważniejszą, i węgierską. Grał na tych skrzypcach różne. Tam nauczyłem się też u niego grać różnych rzeczy. No i trochę takich do tańca. Zaczynało się tak o piątej nawet, czy o czwartej. Taki jakby „Five o'clock”. To taka muzyka do słuchu, typu czardasze, jakieś coś. To trzeba było wszystko grać. Kurcze blade.

Zespół nie rozpadł się. Tadiusz po prostu, w pewnym okresie dostał gdzieś ofertę, bo Tadiusz, był równocześnie takim menedżerem i on załatwiał jakieś sprawy. Szukał kontaktu.

9. Zespół Rytm koncertował w całej Polsce

Zaczął wychodzić w Polsce taki tygodnik [pod tytułem] „Nowa Wieś”. Redaktorem naczelnym był wtedy Zbigniew Adrjański. On był znanym w Warszawie dziennikarzem, taki organizator trochę. On z Warszawy. I gdzieś nas zobaczył, czy ktoś z jego pracowników nas zobaczył, bo myśmy występowali z Tadiuszem Kursą też po Lubelszczyźnie. W Łukowie, z jakiejś okazji. Nie wiem, czy to „Estrada Lubelska” już wtedy organizowała coś takiego? Być może, że „Estrada Lubelska” organizowała takie imprezy większe, gdzieś w terenie, albo jeszcze wychodziła w Lublinie gazeta „Głos Ziemi Lubelskiej”. Dawno, dawno, na początku. Tam też taki facet był. Organizował spotkania jakieś, coś jeszcze. Oprócz wydawania gazety. Ktoś to zobaczył i ten Adrjański zaproponował, że on chciałby zrobić objazd po Polsce, tak jakby [w ramach] promocji czasopisma, tej „Nowej Wsi”. Występy, spotkania z redaktorami gazety i takie coś robiło się kiedyś. „Kurier Lubelski” takie rzeczy robił tu po Lubelszczyźnie. „Głos Ziemi Lubelskiej” też organizował takie coś. I wtedy brali nas jako oprawę, jak było spotkanie z tymi redaktorami, żeby później były jakieś występy. Coś żeby było grane, śpiewane. I tak dalej.

Z Kursą objeżdżiłem troszkę po Lubelszczyźnie. Oprócz Lublina. Jako [zespół] Rytm, ale ktoś zobaczył i zaproponował Tadziewi, żeby właśnie [zorganizować] objazd po Polsce i tam płacili jakieś niezłe pieniądze. To było gdzieś przy końcu studiów i ja nie mogłem się ruszyć, żeby jeździć. Mogłem na wakacje z nimi pojechać. Zresztą, jeździłem dwa razy do Rucianego na wakacje. Tam taka fajna knajpa była w Rucianem, ze scenką, z taką muszlą i takie kabiny ze stolikami, ozdobione takimi fajnymi drewnianymi kratkami. Jak ona się nazywała ta knajpa? Nie pamiętam, ale fajna była. Taki był betonowy, okrągły parkiet, betonowa ścieżka do bufetu, pod takim daszkiem. Po tej stronie. [Żeby podejść] do bufetu to trzeba było wejść na drewniane schodki. A tu roznosili. Była kuchnia, było jedzenie. Super taka knajpa - „Warmianka”. O! To była knajpa „Warmianka”. Ona może istnieje do tej pory. Mogłem wyjechać na wakacje, [a oni] mieli jeździć [przez cały rok], więc musieli coś wykombinować. I wykombinowali tak, że mieli jednego akordeonistę, bo grał akordeonista w Rytmie, nazywał się Stasio Schab, ale że to może być za mało, że trzeba jeszcze kogoś, jakiegoś klawiszowca, albo drugi akordeon. Na dwa akordeony, że to może być dość ciekawe. I znaleźli takiego człowieka. Tadzio znalazł. Jeszcze przy pomocy jakiejś tam. Spotkaliśmy się jeszcze jakby przed ich wyjazdem, to miałem tam jeszcze jakby kwalifikować, czy on znajduje się wśród dobrych muzyków, bo to tak jakby za mnie. Wtedy nie mogłem jechać. I był taki człowiek, który nazywa się Józef Tabaczewski, zmarł w 2011 roku. Super zdolny facet. Akordeonista. Mam tu jego płyty. On tutaj z Bronowic pochodził. Jako młody chłopaczek wychowany z Cyganami – rodzina Borano, oni mieszkali [na Bronowicach]. I on grał już od małego na akordeonie. I jeszcze wtedy nie znał dobrze nut, ale grał super. No i on pojechał [za mnie], ten Stasiu Schab. Jeszcze znaleźli jakiegoś gitarzystę. Jakiś czas jeździł z nimi człowiek, który mieszka jeszcze w Świdniku. Nazywa się Siebieles. Grał trochę na rytmicznej gitarze. No i objeżdżali [Polskę]. Były zdjęcia później w tej „Nowej Wsi”. Przesyłali jakieś pocztówki. Objeżdżali Pomorze, Mazury, prawie całą Polskę, a głównie jeździli po tych Ziemiach Odzyskanych To i promocja gazety i promocja, że to ziemie polskie. Po tych PGR-ach [jeździli], wtedy było mnóstwo PGR-ów. No i też mieli i pieniądze, i wszystko tam.

10. Spotkania przy mikrofonie dosyć szybko przemieniły się w kabaret o nazwie Czart

Poznałem Kazia Łojana, on mnie gdzieś spotkał i mówi: „Słuchaj, w Czarciej Łapie powstaje kabaret”. No i, że on tam będzie, że on będzie pisał teksty. Czy ja bym mógł tam przyjść? No przyszedłem na próby. Zobaczyłem. Oni tam coś już próbowali. Coś robili. To był rok gdzieś tak... Nie wiem – rok 1961, 1962. Byłem w Czarcie na jakiejś próbie. Poszedłem sobie posłuchać. Nie pamiętam, kto tam wtedy grał. Być może grał Szrajter, on też grał w operetce. W operetce głównie. Komponował trochę. Napisał piosenkę jedną taką fajną. On być może wtedy grał. Może ktoś inny. To był taki kabaret. Powstał niby kabaret, niby nie-kabaret. To było coś na pograniczu

„Podwieczorku przy mikrofonie”, bo to wtedy było modne w Warszawie. „Podwieczorek przy mikrofonie”. I tutaj taki człowiek, pod tytułem Tytus Wilski – on zaczął to organizować, takie spotkania, przy mikrofonie, żeby nie nazywać podwieczorek, to spotkania. Jakoś tak. I on tak ściągał troszkę ludzi z operetki, trochę tam z teatru, kto mógł. I w poniedziałki, to aktorzy mają wolne. To jest słynne powiedzenie. To tam w poniedziałki robiło się jakieś premiery. A wieczorem, w normalne dni, nie można było za bardzo grać, bo aktorzy byli zajęci. No, to tak kombinowali tam jakoś takich aktorów, którzy akurat mieli próby. Nie tych, co aktualnie grali w teatrze, bo byli zajęci wieczorami. A ci, co mieli próby, to mieli próby do południa. Dwa, trzy miesiące przygotowywali spektakl. To on, wtedy wyłapywał kogoś tam z teatru, bo teatr był główną bazą na początku, i operetka. Wtedy Kazik zaczął pisać teksty. I dał mi jakieś teksty, żebym ja coś napisał. Wtedy dopiero zacząłem coś tam kombinować. Ale jeszcze wtedy miałem kontakt też z Kursą, bo to było w tym samym czasie. To się nakładało. Zresztą, nie tylko to. Ciągłe coś tam się nakładało. Kilka rzeczy było. To ja sobie jeździłem do tej Anieli Rossowieckiej, siadałem do fortepianu i sobie coś tam tworzyłem, kombinowałem. Nie bardzo jeszcze tak miałem wprawę, ale coś tam próbowałem. W każdym razie, jako jedna z pierwszych powstała piosenka pod tytułem „Fatamorgana”. [Aniela Rossowiecka mieszkała] na ulicy Biernackiego. Na rogu tej kamienicy. Zacząłem robić, [powstała] „Fatamorgana”. Coś jeszcze mi dał. Jakiś tekst, jakieś dziwne rzeczy. I później grałem coś, pokazywałem. I niektóre rzeczy wchodziły [do programu]. I [były] tak zwane „Podwieczorki przy mikrofonie”, dosyć szybko przemieniły się w kabaret, który przyjął nazwę Czart. Który program był pierwszy? Wtedy Jacek Abramowicz też grał, bo Jacek Abramowicz w ogóle grał w Czarciej Łapie, bo tam wieczorami grał pianista na fortepianie. Gdzieś tak od piątej może, do dziesiątej grał pianista. Jacek Abramowicz tam grał. Później, jak był ten kabaret, to on tam też brał udział. Później w kabarecie, było dwóch akompaniatorów, dwóch pianistów. Graliśmy czasem na cztery ręce, albo zmienialiśmy foteliki z Jackiem. Jacek grał do niektórych piosenek. A ja grałem do swoich, bo moje były za trudne. W każdym razie na początku kabaretu, po przeniesieniu, bo ten „podwieczorek przy mikrofonie” przeniósł się do którejś knajpy na Kalinę. Nie pamiętam, jakoś ta knajpa się nazywała. Czy [ona jest] obecnie na [ulicy] Bieruta? Czy jakaś taka była. Gdzieś tam występowali. Byłem tam później nawet obejrzyć występ. Zrobili se takie jakieś bardziej operetkowe sprawy. Były takie stroje z piórami. Takie spotkania niby przy mikrofonie, a kabaret Czart, zaczął już tu. Tu był w kawiarni Czarcia Łapa.

11. Praca Kazika Łojana

Na początku, jak Kazik zaczął pisać teksty, to pisał takie długie. Taką miał manię na początku. Później nauczył się trochę inaczej pisać. Pisał długie teksty. I on mi to dawał. Ja coś kombinowałem, pisałem. Wtedy Kaziu już przestał studiować. Już nie

wiem, czy skończył w ogóle studia, czy nie dokończył. Pracował jakiś czas na ulicy Wieniawskiej, boczna Krakowskiego Przedmieścia, przed skrzyżowaniem z Lipową. To przy szkole muzycznej. Tam był jakiś powiatowy urząd. I tam było też coś do spraw kultury. Kazio wylądował tam najpierw. Jakiś rok był tam chyba. Chodziłem do niego. A później, Kaziu przeniósł się na zamek, bo na zamku był Miejski Dom Kultury. Jakiś czas na Zamku Lubelskim był. Szefem był Bolesław Ryż. No i tam Kazia ściągnął z tego powiatowego na Zamek. To ja tak spotykałem się z Kaziem, chodziłem trochę na Wieniawską, żeśmy omawiali takie imprezy różne, bo mieliśmy estradowe jakies takie. Poza tym, imprezy takie tam z różnymi ludźmi tutaj. Byli tu tacy luźni chałturnicy tak zwani. Był taki Jurek Kostrzewa. Robiło się takie ekipki, w zależności do potrzeb. Ten kabaret studencki przestał już istnieć, no ale tworzyło się takie inne. Chodziłem sobie na zamek, bo ja nie miałem tu w mieszkaniu fortepianu. To chodziłem też i na zamek. Na zamku był fortepian. Była sala, dostawałem klucze, siedziałem. Ćwiczyłem trochę i coś komponowałem, coś robiłem, co trzeba było, albo jeszcze wcześniej [ćwiczyłem] właśnie u Anieli Rossowieckiej.

12. Kabaret Czart

W kabarecie Czart, na początku przewinęło się parę ciekawych osób. Mianowicie, na początku w kabarecie Czart był Andrzej Rozhin. Śpiewał piosenkę pod tytułem „Smutne kalosze”, którą napisał Kaziu Łojan. I ja tam napisałem jakąś muzykę. To był taki długi gniot jakiś. Taki tekst cholerny o kaloszach, co stały tak gdzieś w kącie i Pan ich nie ubierał, nie wychodził na dwór. I one dlatego były smutne, razem z parasolką, czy z parasolem siedziały w kącie. Cały taki tekst napisał. Później, był taki tekst o jakiejś takiej niby o niepełnosprawnej dziewczynie, która siedziała w oknie i coś tam... Nie pamiętam tytułu. To wszystko pisał Kaziu Łojan. Mam tu gdzieś teksty. Patrzyła się tylko na świat, a nie mogła wyjść, uczestniczyć. O, i też takie długie. A kto to wykonywał? Rozhin, pamiętam, te „Smutne kalosze” [śpiewał]. W kabarecie Czart pojawił się kolega Piotr Szczepanik. I pojawił się też chyba wtedy Jasio Welik. To tak było jakby równocześnie. Rozhin zjawił się właśnie gdzieś skądś, on właśnie chyba działał trochę w [kabarecie] Dren. Jakies takie spotkania były. I później, to owocowało tym, że ten tego zapraszał, żeby przyszedł na próby, żeby coś zobaczyć. Później jak chciał, to zostawał. Był Rozhin. Była jego przyszła żona, Barbara Michałowska. No, bo ona była taka polonistka, teksty chciała pisać. No i, takie były początki. Ten Szczepanik przewinął się przecież. I parę takich osób. No, bo od początku, to chyba jeszcze był Kosiński. Facet. Później był trochę Drozdowski, bo on mniej grał w teatrze. Nie brał ról po to, żeby móc gdzieś chałturzyć, jak to się mówiło. I to on trochę był tam w kabarecie. Przewinęło się parę takich osób z Lublina, na samym początku. Z tego, co ja pamiętam. Ale który to był program? Jak on się nazywał? Ten o właśnie [program], gdzie były smutne kalosze. „Oj, czasy, czasy”, to może i później było. Nie wiem. To trzeba by zobaczyć programy. Wiem, że Jacek

[Abramowicz] też tam pisał. I ja tam zacząłem tak wchodzić. Też nie bardzo miałem czasu na początku, bo byłem jeszcze związany, bo jeszcze tu działałem. Zanim Tadziu Kursa nie wyjechał, to z nim grałem.

13. Proponowali mi pracę w zakładzie biochemii, ale miałem wiele innych zobowiązań

Proponowali mi pracę w Zakładzie Biochemii, bo robiłem magisterium z biochemii. Tu, jak był ten dawny „Fafik”. Taka knajpka i kawiarnia. I teraz jeździ dziesiątka [autobus MPK nr 10]. A tutaj jest Ogród Saski w prawo. To jeszcze kawałek dalej. Kawałek dalej. Jak ta ulica się nazywa? Na prawo. I na rogu był budynek, budynek biochemii, a na lewo uliczka i szło się na miasteczko studenckie tamtędy. To tam [studiowałem]. Na tej biochemii. Ale tam chcieli, żebym ja został. Tam robiłem to magisterium. Robiłem tam prace takie doświadczalne, laboratoryjne. To zresztą, było tam gdzieś publikowane – fragmenty mojej pracy. Takie publikacje oni tam zrobili na tej biochemii. I taki był profesor Trojanowski chyba i taki asystent jeszcze. Namawiali mnie, żebym [został]. Tam była robota od rana do wieczora, bo to jest taka laboratoryjna. Tam ustawiało się jakieś rzeczy, jakieś badania, jakieś historie. I trzeba było kontrolować. Przychodzić. Ja mówię: „Nie dam rady”. Może jeszcze jakoś byłbym dał radę, bo za to byłem niezwiązany czasem pracy. Mogłem wyskakiwać, robić co chciałem, ale oni proponowali dziewięćset złotych. Takie stażowe. Mówią: „Ale to tak przez rok. A później, dołożymy”. A ja w tym czasie prowadziłem w LPBM-ie taki zespół, dziewczyny śpiewały coś tam. Lubelskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Miejskiego. Za „Victorią” dalej tam trochę taki budynek był LPBM-u. Świetlica i tam coś robiłem. Jeszcze gdzieś robiłem. I w tym czasie, już trochę jakieś parę złotych dostawałem. Już chyba wtedy coś tam zaczynałem też w Miksturze. I jeszcze był kabaret Gips, w Publicznym Szpitalu Klinicznym na [ulicy] Jaczewskiego. To wszystko, mniej więcej, tak samo. Była „Mikstura”. Jak ja skończyłem studia, to rok czasu nie pracowałem nigdzie. Tylko zarabiałem na imprezach, na wyjazdach. Trochę z Czarciem, trochę z czymś. I tam miałem dużo tych powiązań. Proponowali mi jakieś granie, żebym zagrał w knajpie zastępstwo na przykład miesiąc czasu. Pianista brał se urlop, albo coś, albo cała orkiestra brała urlop to no ściągało się parę osób i graliśmy miesiąc czasu tam.

14. Kabaret Gips i kabaret Mikstura

Ja akompaniowałem w składzie Gipsu. Od początku „Gipsu”. Jurek Beer prowadził i reżyserował i Miksturę i Gips. Jurek jeździł taką Syrenką, bo syrenkę zakupił. I umawialiśmy się. On jechał. Zabierał mnie. Jechaliśmy na próbę, a jak skończyliśmy, to do Abramowic. W zależności. Tam była wcześniej próba, tu później. Zależnie jak się ustalało. Albo dni ustawialiśmy tak, żeby tu było na przykład wtorki i piątki, a środy w Miksturze. Tak, że było tej roboty mnóstwo. Jeszcze jakiś zespół powstał też i

Jurek Beer reżyserował, bo chcieli koniecznie. W Dworku Grafa, tam były jakieś biura, jakieś coś. Dworek Grafa należał kiedyś do jakiejś spółdzielni, PSS jakiegoś. Tam [była] duża sala. Duże coś. Chcieli tam być żeby zespół taki o jakiś tam kabaretowy. [Ja byłem] od początku [kabaretu] Gips. Trzonem był Jerzy Beer, Jerzy Malt, Andrzej Kłębukowski i Jasiu Kienzler. To był trzon. Oni byli w Miksturze i w Gipsie. A resztę, to były pielęgniarce. Na przykład jedna była ze [szpitala na ulicy] Jaczewskiego. Czasem był dobierany taki człowiek pod tytułem Jasiu Kamiński. On monolog mówił, jeszcze w jakichś scenkach brał udział, bo on nie śpiewał. Nie potrafił. Tak, że on był czasem też i w Miksturze trochę, bo Mikstura zrobiła parę niezłych programów. I Gips zrobił tam ze cztery może, czy z pięć programów. To wszystko trwało do roku 1970, od początku lat sześćdziesiątych. Jak ja kończyłem tu studia, to był tak: Kursa [i jego zespół], zacząłem trochę z Czartem, później z Miksturą. Mało tego! Ja ten rok, co mówiłem, że miałem takie zespoły to później Jurek zaproponował mi: „Słuchaj, skończyłeś studia. Przyjedź i dostaniesz pracę w Abramowicach. W laboratorium”. Znałem się na tym. Mówi: „I będziemy mieli próby. Będziesz tutaj na miejscu”. A ja wtedy wynajmowałem mieszkanie na dzielnicy Dziesiątej, czyli było blisko Abramowic. Ulica przed pierwszą pętlą – na ulicy Matejki, u takiego fajnego małżeństwa. Miałem mieszkanie na poddaszu. Jeszcze nie było [telefonów] komórkowych. To umawialiśmy się czasem tak, że ja wychodziłem z Matejki do Kunickiego. Uzgadnialiśmy tak, że on wyjedzie, ja będę czekał.

15. Gips nabierał niezłego poziomu, a Mikstura miała bardzo dobry poziom

Wtedy [kabaret] Gips też już żył, też nabierał niezłego poziomu, a Mikstura miała poziom bardzo dobry. [Kabaret Gips] też wyjeżdżał do Polanicy. W Polanicy Zdroju, co dwa lata, był przegląd zespołów służby zdrowia. To Mikstura tam jeździła, zdobywała nagrody co roku. A Gips też, nie pierwsze, bo Mikstura zdobywała pierwsze. Raz chyba w Polanicy tylko wygrał taki kabaret z Warszawy lekarza Wojciechowskiego. Oni śpiewali prawie same piosenki. Wszystko było muzyczne. Mieli zespół. Nieźle śpiewali, to taka jakaś nowość, niby to taki kabaretowy miał być trochę, ale tam mało było tekstów mówionych. Tylko więcej śpiewanych, nawet na takim niezłym poziomie. To oni tam zdobyli jakieś miejsce lepsze wtedy. Raz. W jednym roku.

[Nazwa] Gips jest od gipsu. Od tych złamań, to był Gips. Tutaj była Mikstura, ale ta Mikstura, przed Miksturą, nazywała się Psychodraka. I to były chyba ze dwa programy, jako Psychodraka. Natomiast był taki facet, profesor Kaczyński zresztą, bo tam był oddział kliniki, czyli oddział podlegający jakby Akademii Medycznej. I jak on zobaczył ten afisz, to mu się to nie podobało, że to kojarzy się, że to psychicznie, że to szpital psychiatryczny i [kabaret ma nazwę] Psychodraka, że takie coś to jest wyśmiewanie, i żeby to zmienić. No to go posłuchali i zmienił Jurek [nazwę] na Miksturę.

16. Skąd wziął się mój pseudonim?

Ja miałem pseudonim „Jerzy Matt”. Przez dwa „t”. Używałem go tutaj w Lublinie, bo moje nazwisko wymawia się źle. I ludzie robili błędy. Mówi: „Zmień coś. Zrób coś. Właśnie przyszła mi do głowy – mówi: „Jerzy Matt”. Takie przez dwa „t”. Ładne. No, ale później, jak zacząłem trochę komponować, miałem jakieś utwory i zacząłem zgłaszać do ZAIKS-u, później, jak już chciałem zostać członkiem ZAIKS-u trzeba było dziesięć utworów takich przygotować i wypełnić ankietę. Podaje się tam pseudonim, ja podałem „Matt” i dostałem odpowiedź, że niestety, nie możemy tego pseudonimu uwzględnić, zarejestrować, bo już jest jakiś podobny, że musi Pan zmienić. Nie bardzo chciałem zmieniać na jakiś całkiem inny, bo też przez głowę mi coś przechodziło, żebym może jakiś tam inny dał, ale w końcu mówię: „A co to? Zmieni się jedną literę”. Zmieniłem na „Malt” i wysłałem to do ZAIKS-u. Takiego [pseudonimu] nie było. I oni to przyjęli. Później tak, jak mnie zapowiadali to jedni mówili: „A przy fortepianie Jerzy Matt”, bo tak wiedzieli. To ja tam później im mówiłem: „Słuchajcie! Teraz już nie Matt, tylko Malt. Nauczcie się”. Mówią: „Aleś se wymyślił”. Ja mówię: „To nie ja. To przecież ten ZAIKS wymyślił”. Od 1974 roku chyba, to już ten „Malt” musiał być. No i tak już zostało. A wcześniej, był „Matt”. Bo w 1974 roku, oficjalnie składałem papiery do ZAIKS-u, żeby zostać członkiem.

17. Współpraca z Jerzym Beerem

Po długiej przerwie, to znaczy prawie dziesięcioletniej, kiedy nie było mnie w Lublinie – zajmowałem się działalnością gospodarczą – wróciłem do Lublina, znaczy, przenieśliem się do Świdnika i mieszkam w Świdniku. Dowiedziałem się właśnie, że Beer do Bolesławca [wyjechał]. Nie miałem z nim wcześniej kontaktu, ale tutaj jakoś złapałem kontakt. To już jest gdzieś 2001, 2002 rok, jak nawiązałem z nim kontakt w Bolesławcu. Wymieniliśmy się telefonami. Rozmawialiśmy trochę przez telefon. No i, przez telefon dowiedziałem się, że on w Bolesławcu tworzy kabaret. I nazwał to niby „Mikstura 2”. W tych rozmowach, wyszła taka sprawa, że on by chciał, żebym ja mu akompaniował, ale ja mówię: „No, przecież nie mogę. Tutaj jestem. I nie mogę tam pojechać i tam siedzieć. No mogę na jakiś krótki czas, ale nie na dłużej”. A w tym czasie, ja uczyłem się na komputerze, bo przecież nie umiałem nic. Nauczyłem się. Tu mi pomagali koledzy, a zwłaszcza taki bardzo zdolny muzyk, i który to umiał na komputerze robić muzykę, podkłady, i takie midi tak zwane. Nazywał się Sławomir Kula, bardzo dużo mi pomógł. On mnie uczył, jeździłem do niego, pokazywał mi. Wpadliśmy na pomysł, żeby zrobić podkłady do utworów, które [Jerzy Beer] chciał wykonywać. Trwała taka wymiana telefoniczna, później listowna. I wreszcie on uzgodnił program. Przyniósł mi, albo przysłał pocztą, albo i powiedział przez telefon, jakie utwory. Opisał mi jak ten program, mniej więcej, wygląda, co on tam tworzy i

jakie piosenki potrzebuje. Takie tutaj z naszych dawniejszych, co robiliśmy i w Miksturze, i w Czarciu, bo on przecież występował też w Czarciu i znał melodie „czartowskie”. Tak że wracając do Beera, uzgodniliśmy pewne rzeczy, on mi przysłał w dużej kopercie cały scenariusz, z uwagami jeszcze muzycznymi tak, żebym ja to widział, a ja robiłem tu podkłady. Na dyskietce wtedy robiło się. Miałem taki specjalny instrument, który odtwarzał to, bo nauczyłem się jak dogrywać do tego pewne rzeczy. Tonacje były pouzgadniane na odległość. W końcu wybrałem się do Bolesławca. Zabrałem ten instrument. Pociąg Lublin-Wrocław. We Wrocławiu wysiadłem. Później do Legnicy. Gdzieś tam w Legnicy do Bolesławca. Z tym instrumentem i z tym wszystkim, z materiałami. No i, jakoś tam dotarłem. Byłem u Jurka trochę, ze dwa tygodnie, może trzy. Robiliśmy ten program. Na terenie szpitala psychiatrycznego w Bolesławcu, to była bardzo ładna świetlica, taka duża, z fortepianem, jakiś taki niemiecki, Bernstein tam był – już nie pamiętam – czy jakiś inny taki duży fortepian, nawet nastrojony, w miarę. Stał przed sceną. Duża scena. Dostatecznie duża sala. No i ćwiczyliśmy. Fortepian był wykorzystywany, a później ten instrument. Trzeba było aparaturę zrobić, podłączyć wszystko. To taki był tam macher z Bolesławca, który to umiał. I to popróbowaliśmy, żeby to szło. Te dyskietki też musiało się w kolejności [wkładać]. Tu trzeba było naciskać, tu włączyć, tu w odpowiednim momencie. I wstęp. To wszystko musiało być wyćwiczone. Podkłady do [programu], cośmy uzgodnili wszystko na odległość. Te próby, jak już to zawiozłem, to już nic nie poprawialiśmy. Z tych dyskietek, tak zostało. Było dobrze zrobione. Zespół pieśni i tańca też chciał sobie taki zrobić, też z tekstem o służbie zdrowia. To też takie melodie robiłem. Całą wiązkę ludowych [utworów]. Tam była jakaś „Głęboka studzienka” i „Hula wiatr”. Takie to było lubelskie, bo to z lubelskiego podkład: „Przyszedł pacjent do lekarza, przyszedł pacjentka”, bo tam było tak w tekście. Lekarz pisze obłożony tymi zeszytami, dokumentami, nie ma czasu na leczenie, tylko biurokracja. No w każdym razie, zrobiliśmy to i dobrze to wszystko wyszło. Sprawdziliśmy to. Na terenie szpitala w którąś niedzielę były drzwi otwarte szpitala. Badali ludziom ciśnienia, takie miasteczko zrobili, wszystko na terenie szpitala. Tam ludzie z Bolesławca przychodzili. Taka „Biała niedziela”. W Bolesławcu wyleczyłem taką wysypkę, co dostałem tutaj w maju, po grypie majowej. Pojechałem do Lublina ze Świdnika i wracając, gdzieś wiatr taki był i otwarte okna w busie. Wiało mnie cały czas. Przewiało gdzieś wszystko i dostałem grypy takiej, że nie mógł mnie wyleczyć taki stary dobry lekarz rodzinny, już nie żyje niestety, który zawsze mnie namawiał, żebym rzucił papierosy, że on sam już sześć lat nie pali, ale on wcześniej zmarł ode mnie, już parę lat temu, na raka płuc, a nie palił. Ja w końcu też przestałem palić. Parę lat już nie palę. Też ze sześć, czy siedem. To teraz mnie akurat czeka to samo, co tego doktora. Doktor Żurek. Zresztą, bardzo dobry. Starszy taki specjalista. No i, żeby jeszcze dodać coś do tego Bolesławca to później był jeszcze wielki bal. To są zdjęcia z tego balu. W takiej dużej sali tam. Super było to wszystko. Wróciłem jakoś. No i, później żeśmy się, że tak powiem przymierzali do następnego programu, ale to

już tak znowu trzeba było dłużej. A później okazało się nagle, wiadomość przyszła, że Beer nie żyje. I tak się skończyło. Do wątku bolesławskiego, to jeszcze można by tam pododawać parę rzeczy. Były tam dziewczyny, duży skład był, taki facet grał tam. Żeby nie [nazwać] Mikstura, to Mikstura 2. No i, tam występowała druga żona Jurka Beera – Teresa Grzegorzczak. I ona jeszcze żyje. I ona ma chyba dużo jeszcze dokumentów różnych.

18. Kabaret Mikstura był „poligonem” dla Czarta

Zresztą, Mikstura była jakby poligonem dla Czarta. Dlatego, że bardzo dużo rzeczy Kaziu pisał dla Mikstury. Tam, żeśmy to wykonywali i najlepsze rzeczy właściwie, sprawdzone przed publicznością, oczywiście taką publicznością nielubelską, [były później wykorzystywane w Czarcie]. Mikstura prawie nie występowała w Lublinie, tylko albo w Polanicy na przeglądach służby zdrowia, albo na jakichś innych przeglądach, bo właśnie w Krakowie, albo jeszcze gdzieś tam zdobywała nagrody i wracała do Lublina. Ludzie pracowali. Nie mogli tutaj gdzieś tak występować. Czasem z okazji dnia służby zdrowia, albo coś, to jakiś występ był tutaj, ale tak to w Lublinie kabaret Mikstura nie był znany. To jest taki paradoks. I dlatego, mogliśmy niektóre rzeczy, że tak powiem, przetestować w Miksturze, i jak one sprawdziły się, i muzycznie, i wokalnie, i tonacyjnie, i [była dobra] reakcja publiczności abramowickiej, czy na tych przeglądach, to one później szły, Kaziu wstawiał, do scenariuszy „czartowskich”. Nawet później, jak Czart przestał właściwie praktycznie istnieć i jeszcze Pani Alicja Bodes kontynuowała tradycję kabaretową w Piwnicy u Biesów, to jest obok Czarciej Łapy, wejście od Trybunału, gdzieś tamtędy wchodziło się i później na dół. To ze trzy programy tam jeszcze [były wystawione]. I to Kaziu pisał, wykorzystywał jeszcze pewne takie rzeczy czartowskie na początek. A później, pisał już takie specjalnie dla „Biesów”.

19. Skład kabaretu Mikstura

Jak była ta pierwsza Mikstura, to tam próby i występy odbywały się w świetlicy abramowickiej. I tam była duża książka pamiątkowa. Zresztą, wtedy w każdym takich klubach, czy świetlicach, tak samo i w [zespole] Ruch prowadzili książkę i tam spisywali różne wydarzenia, które odbywały się w tej świetlicy. Czy jakieś występy, czy jakieś spotkania z aktorami, czy jakieś ważne [wydarzenia] związkowe. Zdjęcia były robione. To napisane. Ludzie, jak przybywali, to tam coś wpisywali też. Ta książka jest i prawdopodobnie Jurek zabrał ją ze sobą. Tam było dużo zdjęć. Dużo osób, które przewijały się, które współpracowały z Miksturą. A osób przewinęło się bardzo dużo. To był personel, głównie pielęgniarki ze szpitala abramowickiego, Jurek Beer, taki doktor Jasio Ufnal. Nie umiał śpiewać, ale miał takie śmieszne zagrywki w skeczach. W zbiorówkach udawał, że coś tam wyśpiewuje. Po trochę tam grał. Ale

fajny, fajny, wesoły lekarz. Na początku w Miksturze była też doktor Danka Wójtowicz. I taka Dziunia Bielecka chyba, jeżeli nie mylę nazwiska. Ona później wyjechała do Anglii, bo wyszła za mąż za jakiegoś faceta z Ministerstwa Zdrowia, który tu przyjechał do dyrektora Brennenstuhla, czyli do dyrektora szpitala abramowickiego. Gdzieś tam tą Dziunię zobaczył, prawdopodobnie był też na jakimś występie, czy na próbach Mikstury i nawiązał z nią kontakt. Ściągnął ją później do Warszawy, a później do Anglii. I on sam też wyjechał. Tam w Anglii ustawili się podobno nieźle. On miał jakieś pieniądze, nie wiadomo skąd. Nie będę wypowiadał się na ten temat. [W Anglii] zrobili jakąś prywatną klinikę. Tam ludzie z Polski jeździli, bo ona zapraszała. To żona mi przypomniała, że była u niej Pani, która nazywa się Jolanta Werfel. Też takie nazwisko z kręgu NN mniej więcej. I on tam była, pracowała u niej. Dużo rzeczy opowiadała o Dzince, jak wróciła. Dzinca, była ładną dziewczyną. Tutaj miała jakieś kłopoty, miała męża, który „drinkował” i później wyjechała. Nie wiem teraz, co się z nią dzieje. To zresztą, tutaj jej brat grał w Teatrze Osterwy długi czas. Ona z domu nazywała się Żechowska. Może mylę nazwisko. Nie Orzechowska na pewno. On nazywał się Żechowski, ten jej brat. Aktor, który tu został później. Później, za parę lat wyjechał też do Anglii. I on też grał w kabarecie Czart.

20. Jerzy Beer – najlepszy aktor wśród lekarzy i najlepszy lekarz wśród aktorów

Z Bolesławca nadeszła przerażająca wieść. Jerzy Beer nie żyje. Nasz lubelski rodak, nazywany przez przyjaciół i licznych wielbicieli najlepszym aktorem wśród lekarzy i najlepszym lekarzem wśród aktorów. Odszedł nagle, do ostatniej chwili wypełniając postanowienia Przysięgi Hipokratesa w swoim zawodzie lekarza psychiatry. Jurek potrafił doskonale łączyć obowiązki lekarza w szpitalu abramowickim, w którym pracował przez wiele lat, z zamiłowaniem do sceny kabaretowej, na której występował z dużym powodzeniem. Najpierw w studenckim Drenie 59, a potem w Czarcie, w którym tworzył niezapomniane kreacje. Jak by tego było mało, w szpitalu z tamtejszymi lekarzami i pielęgniarkami, założył kabaret Mikstura. Był w nim wykonawcą i reżyserem. Mikstura zdobyła wiele nagród na przeglądach i konkursach w kraju. Największy sukces, odniósł Jerzy Beer i jego zespół w 1979 roku, gdy za program „Spróbuj być sobą” otrzymali pierwszą nagrodę na Ogólnopolskim Festiwalu Teatrów Amatorskich w Krakowie. Jerzy był także wychowawcą młodych kadr aktorskich wśród medyków, których nauczał metody leczenia śmiechem. Kilkanaście lat temu, Jerzy Beer przeniósł się do Bolesławca, gdzie objął stanowisko ordynatora oddziału psychiatrycznego w tamtejszym szpitalu. Dalej oddawał się artystycznej pasji, tworząc wśród braci medycznej kabaret Mikstura. I takim pozostał do chwili, gdy z ziemskiej sceny został nagle przeniesiony na scenę niebiańską. Jurku, nigdy Cię nie zapomnimy! Przyjaciele z kabaretów Czart i Mikstura.

Data i miejsce nagrania	2013-08-16, Świdnik
Rozmawiał/a	Marek Nawratowicz
Redakcja	Dagmara Spodar
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"